JEDNODNIÓWKA



KARLSRUHE 1902 TSP

Do Czytelników.

My idziemy do Was z młodzieńczej roli
Zbiór [illegible] marzeń i głów,
My niesiemy do Was, to co nas boli,
Co [illegible] dusz.
W świetlaną przyszłość choć tętni wiara,
Lecz duszy w słowa nie możem wlać.
Zasiłek z serc bratnich [illegible] ofiara,
Przyjmijcie to, na co było nas stać.

Do Czytelników.

My ślemy do Was z młodzieńczej roli
Zbiór naszych pragnień, marzeń i snów,
My ślemy do Was, to co nas boli,
Co z dawien dawna odczuwał duch.
W świetlaną przyszłość choć tętni wiara
Lecz duszy w słowa nie możem wlać,
Jednak z serc bratnich płynie ofiara
Przyjmcie to, na co było nas stać.



Sonety

I

Coś z szumu fal, coś z burz łoskotu,
Coś z błyskawicy gdy skrzy się w górze
Ognistym śladem błędnego lotu
Tkwi w niepodległej ludzkiej naturze.

Plon osięgnięty wśród krwi i potu...
Rzuca i depcze podane róże,
Pnie się w obłoki, strąca z zawrotu
Przepastnych progów wichry i burze

Podjęta walka! Ta trwa bez końca,
Bo ludzkość w ciągłym naprzód pochodzie
Przy każdym słońca wieczornym zchodzie

Promienistszego wygląda słońca,
A zawiedziona, gdy chyli głowę,
To aby boje rozważać nowe.

* * *

II.

Cześć myśli ludzkiej! że szarej przędzy
Zbutwiałe pasma - bieli - wysusza,
I mimo ciągłych zawodów, nędzy,
Kwiatami czynu szlak swój oprusza.

Pielęgnowana na czarnej miedzy
Wpółnieświadomie skrzydły porusza,
Bezczyn ją nuży! a więc pomiędzy
Wzburzonym tłumem szuka geniusza.

Spiżowych ramion szuka i woli,
Serca, co wszystkie bóle odczuje
I wszystkie cele w jeden zespoli...

I z pęt żelaznych ducha rozkuje.
Lecz wprzód, nim rdzawe znicze wygasną,
Postęp okupi wolnością własną.

* * *

II.

Cześć tym! co krocząc olbrzyma śladem
Rzucony standar do góry wznoszą
I wobec śmierci – z obliczem bladem,
O zmiłowanie katów nie proszą!

Ale im serce zachodzi jadem,
Gdy ci, – dla których dziś kaźń ponoszą
Zamiast współczucia – wyrzutów gradem
Lżąc, – dobrodziejstwa despoty głoszą.

Cześć tym! co dusze mieli ze stali
I w swej ojczyzny stojąc imieniu
Życie i przyszłość kładli na szali

I mrą po dziś dzień w ciasnem więzieniu...
Nikt nie wymusi z nich skarg ni skruchy
Za nich przywykły płakać łańcuchy!

* * *

*
* *

IV.

I cześć narodom wielkiego ducha!
Nieupodlonym przez wiek niewoli,
W nich lada iskra płomień rozdmucha
Potęgę uczuć z siłą zespoli!

Na śmierć, na życie wre walka głucha,
Trup się ku ziemi chyli powoli
Pod nieopatrznym razem obucha,—
Siew poświęcenia krzewiąc na roli.

Wre bój! Na polu mogił przybywa,
Szereg walecznych rośnie w dwójnasób,
Śmiertelnych zderzeń dźwięczą ogniwa,

Aż się wyczerpał przemocy zasób.
Zgliszcza, popioły i stan omdlenia
Zwiastują pierwszy dzień odrodzenia.

* *
*



Przyszedł świt....

A była cicha noc, ta ciemna noc, pełna bezmiernego czaru i uroku, pełna topieli z mgieł i niewypowiedzianej tęsknoty.

Spowita w siwy blask miesiąca ziemia z cicha szepce, szepce coraz senniej- -coraz słabiej- aż zamilkła bezsilna i blada.

Jakiś bezmiar potęgi i siły rozpostarł panowanie swe nad ziemskim półglobem i wszystko uśpił snem wiecznym. Sierp księżyca płynął powoli ponad oceanem srebrnego światła i nieprzejrzanych mgieł. Białawe chmury ułożyły się gdzieś w nieskończonych przestrzeniach jak wyspy wśród sinej topieli wód.

W nadziemską, har-

monijną muzykę zlewały się akordy, płynące od księżycowych blasków i nocy mgieł. Cały przestwór grał jakąś upajającą, aż do omdlenia melodję,...cisza nocy słodki jej grała wtór.

Księżyc posuwał się w swym promiennym majestacie i z tryumfem spoglądał w dół, gdzie w niezmiernej ciszy wszechświata i ludzie i ziemia rozpłynęli się, jakby w niebycie.

Nie! - Tam, w tych głębinach zadrgało światełko. Snop żółtych promieni przebił całuny utkane z mgieł i wznosił się śmiało wyżej i wyżej, aż do srebrnego sierpa.

Rozpoczęła się krótka, śmiertelna walka potęgi księżyca, uroku nocy z jednym szaleńcem.... I zginął szalony - lecz walka zmąciła spokój, zburzyła niebyt i echem odbiła się o ziemię. Jakby na odgłos bojowej trąbki, z głębin wydobywa się więcej i więcej żółtych promieni, zapalonych w milionach chłopskich kaganków. I bój rozpoczął się na nowo.

Zamilkła upajająca muzyka górnych stref, zdumiona śmiałością tej nieznanej siły, co burzyć chce czarowną noc i potę-

cę Księżyca. Podniosły się mgły z ornych pól, z głębi wód, i szły na pomoc srebrzystym blaskom, by wspólnie pochłonąć szaleńców.

W tem — gdzieś z za ciemnych dal, błysnęła wązka, kryształowo jasna smuga światła.... Zapłonął brzask.... Jakby w ucieczce przed tem zaziemskiem zjawiskiem, idącem na pomoc szaleńcom, zbladły Księżyc zasuwał się w pomroki nocy.

Rosła potęga kryształowej smugi, bo za nią szły złociste promienie wschodzącej jutrzenki.

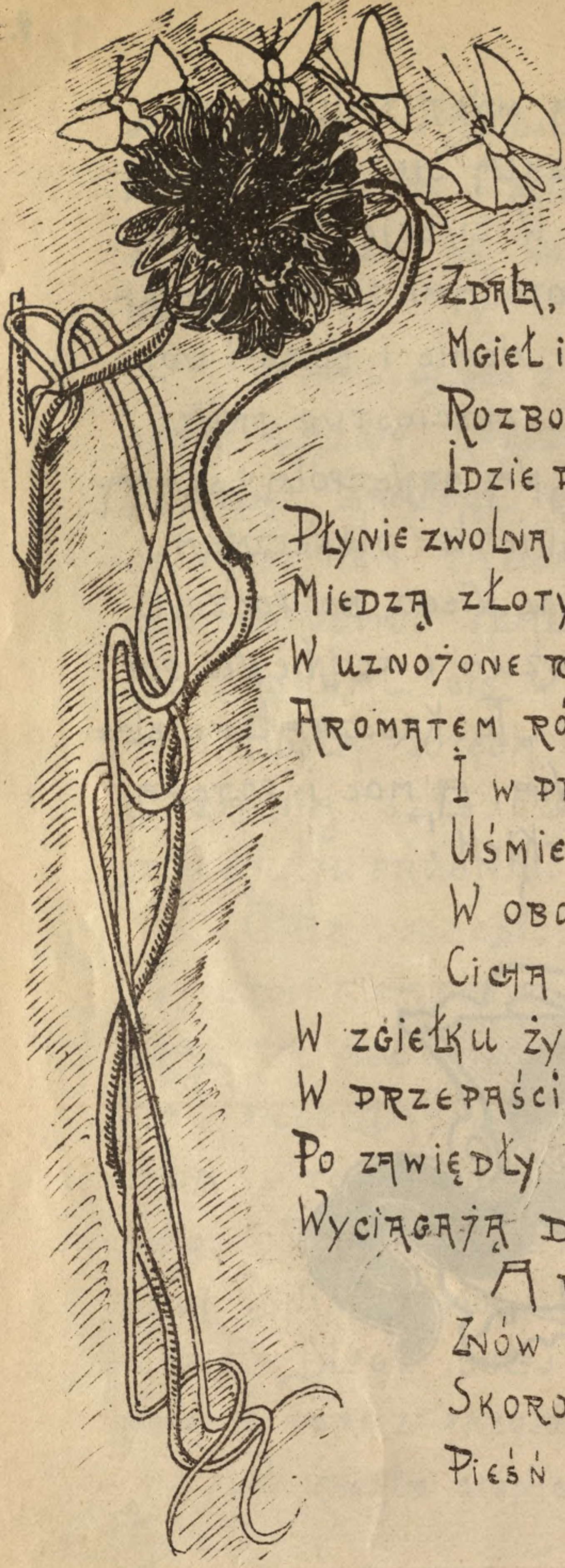
Chłop wyszedł przed próg swej chaty, stoi i patrzy przejęty dziwem — zkąd ta moc? — co to za blaski, że przed nimi pierzchają nocy cienie? A lasów szum i tchnienie pól niosły mu jak echo: „Te kryształowe blaski, to zwiastun dnia, a moc i potęga powstały dla ciebie. Długo byłeś spowity w pomroki nocy, a teraz przyszedł świt."

Pierzchły cienie. Skrył się sierp

Księżyca, a hen - z za sinej dali, z za krańców lasu wynurzyła się przejasna tarcza słoneczna. W zwycięzkim swym pochodzie zalała potokami złota, opalowych barw:- i ludzi i ziemię i bory i wody. Ptaków chór śpiewał zwycięstwo dnia.

Poszedł chłop na orne pola, skąpane w przejrzystem świetle słonecznem. Nowe życie wstąpiło w niego, bo poczuł ducha moc. Lasów szum i tchnienie pól niosło mu jak echo: „Te kryształowe blaski, to zwiastun dnia, a moc i potęga powstały dla wszystkich!"





Zdala, zdala w zawierusze
Mgieł i zwiewnych snów,
Rozbolałe koić dusze,
Idzie pieśń bez słów.

Płynie zwolna, tajemnicza,
Miedzą złotych zbóż,
W uznojone tchnąć oblicza
Aromatem róż.

I w przyćmionej bólem twarzy
Uśmiech wskrzesić znów,
W obojętnych duch rozżarzy
Cicha pieśń bez słów.

W zgiełku życia, walki, czynu,
W przepaścistą toń,
Po zawiędły liść wawrzynu
Wyciągają dłoń.

A runąwszy w chłań bezdenną,
Znów uniosą głów,
Skoro wspomną pieśń promienną,
Pieśń czynu — nie słów!



Złudzenie.

Stoję na jednym ze szczytów Alp. Wokół mnie rościela się widok spokojny, groźny i wspaniały. Ku niebu wznoszą się niby wyciągnięte dłonie cyklopów - skały niebotyczne, ubielone pierścieniami skrzącego śniegu; wielkie i dumne zdają grozić śmiałkowi, któryby targnął się zdobyć ich szczyty. Tylko król powietrza, orzeł posępny, ma prawo zgłębiać ich tajniki i jak czarny punkt zawieszony na niebios błękicie, kąpiąc się w złotych promieniach słońca, może obejmować bystrem swem okiem cały obszar tych głazów.

Między niemi - pogodne

bez drgnięcia, jak drugie niebios przestworza, leżą taflę jezior. Jak szaloną siłą nagle rzucone wstęgi wody i pary, igrając promieniami słońca, w poczuciu swej wielkości spoczywają rzeki lodowe. Cisza.— Słychać tylko szum potoku, który się dąsa i miota w pieczarach ciemnych skał, aż wybucha wściekły i rozszalały, miażdżąc wszystko po drodze; żadna siła zda mu się nie oprzeć.

Cyt! · Z ustronia, gdzie nad jeziorem stoi kapliczka – ołtarz wolności – dochodzi stokrotnie odbity o twarde głazy brzęk dzwoneczków, a wtóruje mu coraz głośniej, coraz raźniej, odgłos rogu pasterza.

Lekko i swobodnie z wieńcem róż alpejskich, zatkniętym na kiju, pnie się po skałach i wygrywa pieśń wolności – pieśń swobody.—

Zapatrzony stoję, lecz przed oczyma mej duszy inny presuwa się widok.

Widzę gaik zielony, cichy ruczaj, nad nim szumi brzoza, a wtóruje

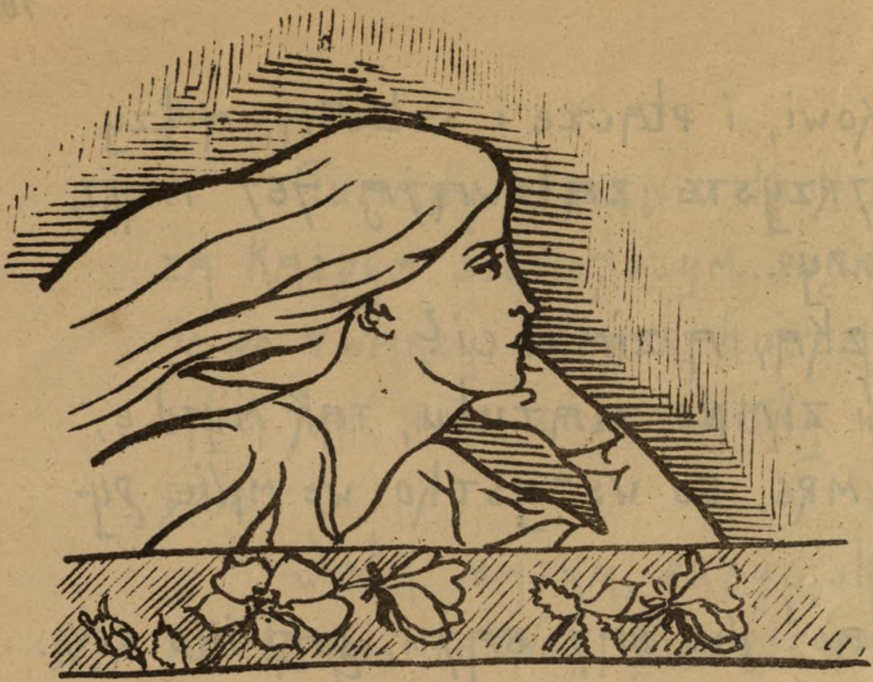
świergot ptasiąt. W oddali, jak fale morskie, na wielkiej równinie kołyszą się łany zboża, przecięte dwoma drogami, niby rozdwojonym szlakiem mlecznym, między niemi pod starym omszałym i pochylonym krzyżem, na którym wisi Chrystus z blachy wycięty, siedzi stary did ukraiński i brzdąka na lirze. Lecz pieśń jego, to nie hymn wolności; to-skarga, to-jęk bólu,- brzęk kajdan!.. Zadźwięczała ostatnia struna- jak echo bolesne wydarło się westchnienie z piersi lirnika i uleciało ku niebu. Po zwiędłej twarzy starca łez parę spłynęło...

Obok mnie spadł kamień i uderzył z głuchym łoskotem o dno przepaści. — Ocknąłem się... Powiodłem wzrokiem dokoła. Ubielone szczyty przeglądały się w toni jezior, a echo niosło ku mnie hymn Wolności.—



Nie bogaty...

Nie bogaty ten, kto złoto
Pełną garścią tłumom sypie,
O kim ludzie cuda plotą,
Komu organ gra na stypie.
Nie bogaty, komu róże
Do stóp chylą zbladłe skronie,
Komu wichry, komu burze,
Grom złożyły w twarde dłonie.
Nie bogaty, ani mocen,
Kto z szarego wzniósł się prochu
I z pogardą słucha ocen
Niemiłego mu motłochu
Lecz bogaty ten, kto z tronu
Samolubstwa - zwlókł się nadół
I podchwycił pieśń do tronu,
I ukochał ziemski padół.
Lecz bogaty, kto wysnuje
Z piersi własnej tyle dzwięku,
Że, gdy na pieśń dzwięk przekuje
Będzie miał lud i grom w ręku.



Józka.

Wiatr leci przez pola i jęczy i szlocha, lub wyda krótki urywany świst, jak krzyk bólu i zamilknie, kryjąc się w polach i moczarach. Znów powstaje, — pędzi wśród szumu, bełkotań i łkań, rzucając kłębami drobnego deszczu.

Świat okrył się szarą mgłą. Ziemia rozmiękła i oślizgła. Deszcz przejmujący zimnem mży ciągle.

Słońce cofnęło swe blade promienie poza szarą, mokrą kurzawę i znikło w nieprzejrzanych falach wodnej mgławicy. — Dżdżysto, zimno i wietrznie. — Cała natura skulona i drżąca oddała się bezbrzeż-

nemu smutkowi, i płacze i szlocha, a łzy wielkie przejrzyste zalewają jej twarz, odzież i stopy....

Józka, a zimno ci?

Oj! zimno matulu, tak myslę, że już i zemrę, bo wszystko we mnie dygoce.

Głupiaś! nie baj baju, daj ino rękę.

Z dziwną trwogą spojrzała matka na mokrą twarzyczkę małej Józki, na jej switkę i nogi, zbryzgane wodą i błotem. Silniej ścisnęła rączynę dziecka i przyspieszyła kroku. Bose nogi slizgały im sie po gliniastej, rozmiękłej drodze, więc stąpały z coraz większym wysiłkiem. - Ucichły obie, a wiatr świstał i jęczał przeciągle.

Matulu, a Wam zimno? zapytała Józka. - W jej głosie czuć było i troskę i bezradność i przywiązanie dziecięce.

Matka nie odpowiedziała - lecz przystanęła na chwilę, szybkim ruchem podniosła Józkę i mocno przycisnęła ją

do siebie.

Tumany drobniutkich kropel deszczu, za każdym silniejszym podmuchem smagały je po twarzy. Wiatr huczał i wył żałośnie, jak pies, zostawiony w pustej zagrodzie.

Szła matka, przyciskając Józkę do piersi, pełnej niezrozumiałego, lecz odczutego szczęścia. Szła — nie zważając na ból i zmęczenie przenikające do głębi. Szła — wśród szumu drgań i poświstów wichru, przejmującego zimnem i wilgocią.

A Józce było dobrze. — Och! tak dobrze, jak tylko może być dziecku, kiedy się tuli do piersi matczynej......



Z preludjów wiosennych

I.

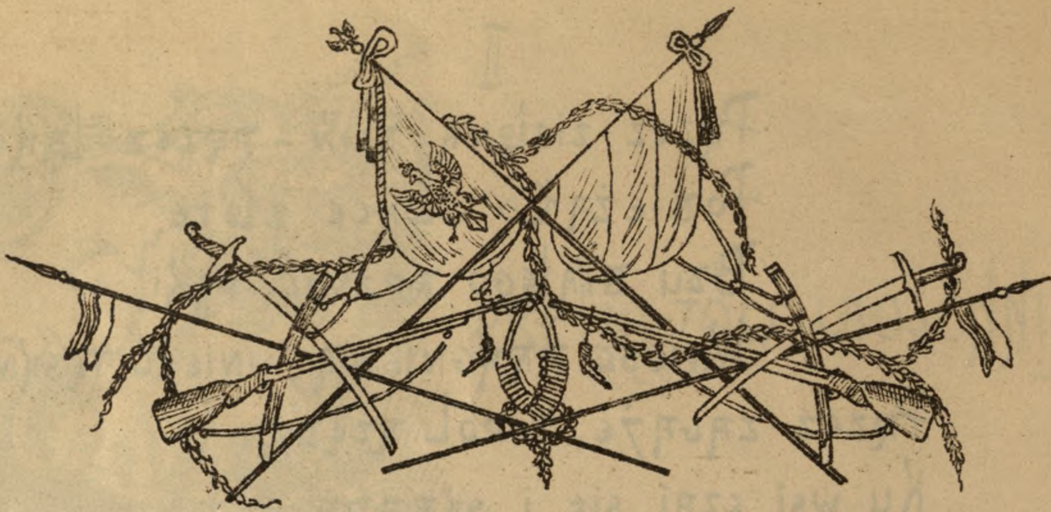
Na schmurzone nieba czoło
Wychylnęło złote słońce,
Pocałunki śle wokoło
Jasne, ciepłe, życiem tchnące.
Pobieżało całe w złocie
Ku pregonom, ku ozimie,
Gdzie człek dobry w znoju, w pocie,
Posiew rzucał w Boże imię.
Gdzie człek biedny posiew rzuca
Na szczęść ludziom, na chwał Bogu,
Choć mu zmora tłoczy płuca,
Choć głód, nędza w jego progu.

* * *

II.

Przez zieloną ruń - przez łąki,
Pobieżało słońce złote,
Bzu białego rozwić pąki,
Wnieść pragnienia, wnieść tęsknotę.
Przez zagaje, topól rzędy,
Ku wsi czai się i skrada,
A musnąwszy w sadach grzędy,
Na srebrzone szyby pada.
A gdy słońce nam przyświeca,
W izbach jaśniej i odświętniej,
Nawet bieda - ta z pod pieca
Popatruje na świat chętniej.





Z opowiadań powstańca.

„......Bitwa skończyła się porażką kozaków..., lecz młodzież nasza i wodze, pomimo zwycięstwa cofnęli się w ciemne bory i bagniska!...”

Dla czego? Czemu nie ścigali moskali i nie wytępili do nogi? Czemu pozwolili ujść tej szarańczy kozaczej? czemu?.....

„....Dzień i dwie noce leżeliśmy w ciemnym borze, oczekując na przyjście zapasów broni, amunicyi i żywności. Od dwóch dni nie mieliśmy nic w gębie, bo przed nami i za nami tylko zgliszcza! Ognia palić nie wolno, bo była wiadomość, że moskal się zbliża! Nasze odzienie — łachmany! Zimna jednak nie czuliśmy zupełnie, tak nas rozgrzewała nadzieja wolności!....

......Straż wysłana na zwiady wróciła, przynosząc wiadomość o zbliżeniu się moskali. Na przytłumiony głos trąbki wszyscyśmy powstali, szykując się do walki i szybkim marszem skierowaliśmy się za przewodnikami. Było nas stu dwudziestu, Kozaków trzykroć większa liczba. Z okrzykiem wolności rzuciliśmy się do walki i bez strzału jednego zwyciężyli wroga. To był nasz wysiłek, wysiłek ostatni!.....

......W gąszczu leśnym, jakby złoczyńcy, zebrani na naradę, dowiedzieliśmy się, że walka nasza, to walka ostatnia! Naczelnik kazał nam wracać do domów.......

.....Ze łzami w oczach, żegnaliśmy się wzajemnie, żegnaliśmy nasz sztandar bojowy, na którym Orzeł Biały, haftowany srebrem, wysoko wznosił swą głowę, a wiatr szamotał nim, jakby pomagając do wzlotu.

.....Nie odleciał,—pozostał z nami.....Każdemu na pamiątkę pozwolono zabrać strzępek maleńki, a Orła zabrał sam Naczelnik z przysięgą powierzenia Go Matce naszej — Ziemi Polskiej. Tak się też stało. W skale Olsztyń-

skiej, w puszce blaszanej spoczywa sztandar naszego oddziału. Tam mu nic nie grozi, tam jest bespiecznym! — Ja go nie odnajdę, Ty go nie odnajdziesz, — lecz znajdzie go Lud!

Wierzę w to, jak słońce zachodzi, by znowu wstać rankiem, tak Lud nasz cały, spożywając chleb Ziemi Polskiej, przesiąkniętej krwią bohaterów Wolności, nabierze sił nowych, sił zdrowych! Siły te się budzą, już żarzą w ciemności, niech tylko powieje prąd świeży, prąd młody oświaty, a iskra w płomień się zamieni! Wtedy biada wam wrogowie! Cierpieć umiemy. Nie ugnie nas żadna siła wasza piekielna, lecz cierpiąc, czujemy zgniliznę niewoli, ciemnoty. Cierpiąc, leczymy swe rany, leczymy ciemnotę!....”

Powstał wzruszony powstaniec, a po chwili, głosem silnym i twardym wyrzekł:

„Myśmy już starzy; walki krwawe pochyliły nasze barki; dziś wy prowadźcie rozpoczęte dzieło. Wam przekazujemy leczenie tej rany bolesnej — ciemnoty. Idźcie do Ludu, pracujcie dla niego i z nim, a zwycięztwo z Wami. Hasłem Waszym niech będzie: Za Wolność i Lud!”

Lotnych skrzydeł...

Lotnych skrzydeł uzycz ptaku,
Abym z tobą współ
Po niebieskim płynął szlaku,
Wichry piersią prół.

Daj mi tęczo-cudnej wstęgi
Siedmiobarwny strój,
Chcę się zapaść w ciemnokręgi
Mroki zwać na bój.

Modrym gwiazdkom skradnę oczy,
By rozbłyskać w dal
I spoglądać z mgieł roztoczy
Na sen cichych hal.

A Ty Boże darój władzę,
Chylić skroń pod głóg,
Bym, gdy o szczyt gór owadzę,
Nie zmylił mych dróg.

Nie zginiemy.



Wiatr zawył silniej i wstrząsnął całą chatą pustkowia. Na ten odgłos natury zbudziła się gospodyni zagrody; usłyszała płacz trzyletniego Grzeli a jednocześnie głos męża, który przez sen urywanymi wyrazy mówił:

Podli... Nie wiem... Nie powiem... A dy ja sam!....

Po ostatnim wykrzyku i on się zbudził, spracowaną dłonią powiódł po czole przeciągnął się i westchnął.

Wiatr silniej wstrząsnął domostwem, a deszcz kroplisty zaczął wydzwaniać na

szybach jakąś skargę żałosną. W tej chwili Burek, jedyny obywatel podwórza, zawył ponuro a potem zaszczekał gwałtownie. Do wstrząśnień wichru dołączyło się szarpanie drzwiami. Na ten odgłos zerwali się mieszkańcy i otworzyli drzwi z pośpiechem, spodziewając się ujrzeć znaną twarz nauczyciela ze dworu, który często, o spóźnionej porze, przynosił książki dla starego Grzeli.

Omylili się... Z ciemności zaczęły się wynurzać postacie. Był więc pan naczelnik powiatu, wójt, strażnicy, a towarzystwo uświetniali żandarmi.

Chłop otarł czoło zroszone potem, zaczął się ubierać a jednocześnie ukradkiem spożywał kawałek papieru...

... Był to list z miasta —

Dziecko rozpłakało się na dobre, lecz uciszył je donośny głos „pana": „mołczi swołocz!"

Chłop spojrzał groźnie, lecz nic nie odrzekł. Baba stała niema w osłupieniu.

„Iszczi!" Na ten rozkaz służalcy rozbiegają się po izbie i jej zakątkach, szukając usprawiedliwienia swojej obecności. Zaległa chwila milczenia, przerywana tylko odgłosem przewracanych sprzętów i rozdzieranej pościeli. Chłop stał spokojny, a obok niego żona. Maryś drżała na całem ciele, lecz z dziwnym uporem i nienawiścią przypatrywała się gospodarce szakali. Naraz rozlegają się śmiechy i głosy: „wot naszli!" – wyciągają z malowanego w kwiaty kufra, gdzie odświętna odzież zwykle schowana, zatłuszczone książki i pisanie, dowód przestępstwa....

... Zabrali Grzele; nie pozwolili mu nawet pożegnać tych dwojga istot, które zostawił. Zpojrzał na żonę z podełba, spojrzał na dziecko, chciał wziąść kij – nie pozwolili – powiódł wzrokiem wokoło, żegnając swój cały dobytek, izbę, w której się urodził, wychował i z której go przemoc wyrwała!...

Maryś krzyż w powietrzu

zrobiła i nagle zawołała z rozpaczą:
Jezu! Jezu! zabierają mi chłopa.

Wtej chwili zerwał się tamowany bunt w tej prostej, lecz twardej duszy; Maryś chwyciła męża za rękę i dysząc wyrzucała wyrazy: Grzela! niech ci Pan Jezus ześle zmiłowanie... Pamiętaj ino, nie ugniena cię praca nad naszą ziemią, nie ugniesz się pod batem Moskali... Grzela! nie turbuj się o synaczka, on będzie sprawiedliwym Polakiem, jakim i ty....

Policzek wymierzony przez żandarma przerwał ten potok wyrazów. Zatoczyła się biedna kobieta i padła u nóg męża.

Grzela skoczył do oprawcy, chwytając go za gardło. Wtej chwili opadła go cała zgraja, krępując mu ręce. Przez ściśnięte zęby obezwładnionego chłopa wyrywał się tylko jeden wyraz: „Moskal"...

Zima ciężka, jakiej ojcowie

nie pamiętali, zawitała do nas, pokrywając białym całunem ziemię Ojczystą. Noc ciemna, drogi zawiane, a głęboki śnieg utrudniał drogę człowiekowi, który rozglądał się na prawo i na lewo. W tem-ujrzał figurę Ukrzyżowanego przy drodze. Padł na kolana i prostą, lecz szczerą modlitwę wiatr poniósł do Boga. Chwała Ci o Chryste! że pozwoliłeś mi wytrzymać pod batami moskali. Chwała Ci, za to, żem żyw powrócił, że mnie nie zmogły głód, więzienia i mrozy Sybiru. Panie wiekuisty i miłosierny! daj mi ujrzeć i powitać chatę rodzinną i tych, których dusza pragnęła przez całe lata. Ukrzyżowali Cię Chryste, a Tyś męką swoją okupił wszystkich ludzi, niechże i moja niewola zbawi choć kilku braci Polaków.

Wstał, spojrzał dokoła i w dali spostrzegł czerwone światełko. Mimo odmrożonych nóg poszedł szybko w tę stronę—do światła. Zajrzał przez okno do wnętrza izby i patrzył wzruszony.

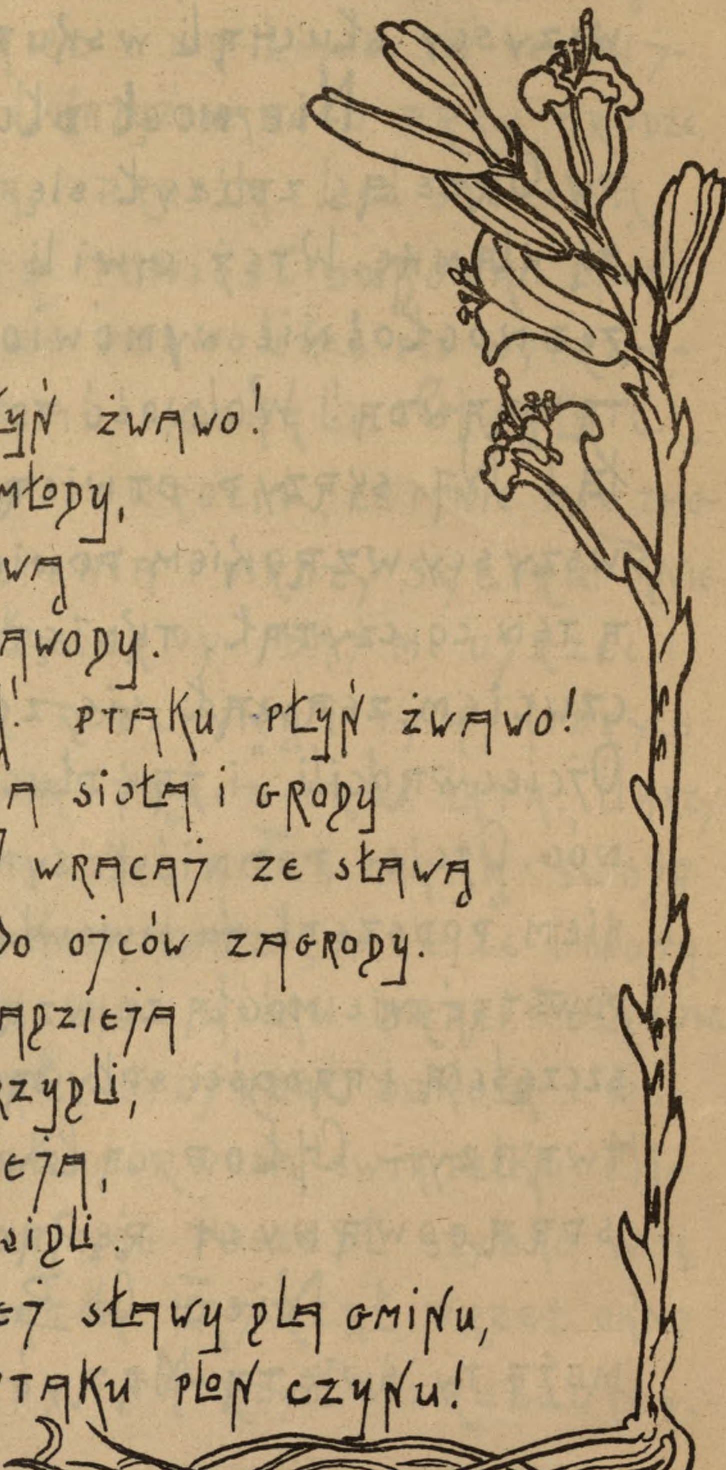
Przed kominem stół nakryty grubym płóciennym obrusem, a wokół siedzą starzy, młodzi i dzieci; w pośród nich młody chłop, który rysami przypominał podróżnego, czytał, a wszyscy słuchali w skupieniu.

Nie mógł dłużej wytrwać stary Grzela; zbliżył się do drzwi i wziął za klamkę. W tej chwili usłyszał prawie jednogłośnie wymówione wyrazy „Święta prawda! Wolność to siła, to wielka siła!" Na skrzyp otwierających się drzwi, wszyscy wzrokiem powiedli w tę stronę, a ten co czytał, tknięty synowskiem przeczuciem, zerwał się z okrzykiem: „Matuś! - Ojciec wrócili," i jak długi padł staremu do nóg. Ojciec podniósł syna i chwiejnym krokiem podszedł ku siwowłosej żonie, która powstać nie mogła ze wzruszenia, a łzy szczęścia i radości spływały jej po zwiędłej twarzy - Chłop całował ją po głowie, spracowanych rękach i szeptał.

„Niech Ci Bóg da zbawienie, moja ty święta Maryś, boś nauczyła

syna kochać – pracować na chleb i na wolność...

. . . . . . Nie zginęła i nie zginie mając taki Lud!



A! ptaku płyń żwawo!
Bo póki ty młody,
Dopóty zabawa
Dla ciebie zawody.
A! ptaku płyń żwawo!
Na sioła i grody
I wracaj ze sławą
Do ojców zagrody.
Gdy piersi nadzieja
Wiosenna oskrzydli,
Ani cię zawieja,
Ani śmierć usidli.
Z twej sławy dla gminu,
Daj ptaku plon czynu!



Nim słońce na sine
Wylegnie przełęcze,
Precz skalne poręcze!
I hale już minę.
W mgieł wilgnych otęczę,
Na wichry zawinę,
Tam życie jedyne.
Tam piersi nie zmęczę.
Gdy droga tam stroma,
Tem większa oskoma,
Tam siły me rosną.
Tam rankiem, tam wiosną,
W podniebnej krainie
Czas orłem mi płynie!



Morze.— Nieprzejrzaną toń wód odziela, niby ekran jasnolazurowy, powierzchnią, której słońce nie sili się przebić, jeno muska spokojnego morza fale i zdawa się roskoszować i bawić ich pluskiem, przebiegając, gdyby na łące szmaragdowej z kamyka na kamyk.—

Znać cieszy się lub gdy sprawuje słonce, bo pogodno jest.—

Lecz kiedy oblicze słońca chmurami zajdzie, a zabujne wichry synowie zanucą swą pieśń nieziemską, a już gdy melodya ta pobudza do tańca rozweselone fale, a te w chyżych pląsach zawirują jak kołowrotek kądzieli, to patrzeć tylko, jak mienią się w olbrzymów i czołami w chmury uderzając w tany je spraszają...

Nieszczęsny robak, który pod stopy gawiedzi tańczącej zawinie............





Od kolebki do wyżyn.

Wśród szczerych serc i prostych dusz
Słyszałem cichy śpiew;
Nie znałem wtedy walk i burz,
Nie wrzała w piersi krew.
A później znów świetlana toń,
Młodości bujny śpiew
Rozkiełzał myśl, zapalił skroń
I wzburzył w żyłach krew......
.....Dzień traci blask, świat pełen chmur...
Tłumiony wzbiera gniew,
Ból rośnie wciąż, a z jękiem w wtór
Szaleje w piersi krew.
Padł nocy cień do duszy mej,
Zwątpienia krzewiąc siew,
Bo zyskiem walk, prócz doli złej —
Daremny trud i krew......
.....Dziś jasnych zórz promienny wiew
Tchnął siłę orlich piór;
Zawładnął sercem, wzburzył krew
I wzniósł nad mroki chmur!

O nocy niedojęta! pokryj mię Swym całunem i unieś w wir światów wielkich. Daj mi przestrzeni, wolności i światła. Unieś ducha mojego w prestworza, gdzie szalony ponad gwiazdy unosić się będzie i tonąć w nieskończoności. Daj mu ujrzeć bieg słońc, płynących w falach eteru, ich prawa odwieczne! Niech zajrzy w serca atomów, niech w szale obejmie siły, pozna co życie, gdie początek, gdzie koniec - gdzie prawda odwieczna.

Niech czuje rozkosz i ból bez granic, niech ujrzy tron Stworzyciela i spyta czem jesteś? zkąd czerpiesz Swą moc? - A wówczas niechaj jak promień słoneczny przeniknie ciemności, niech ujrzy ten świat, zamieszkały przez karłów, co panami wszechświata się zowią; niech przeniknie ich dusze, niech

pozna ich marzenia i cele, niech zaźrzy w ich serca i mózgi...

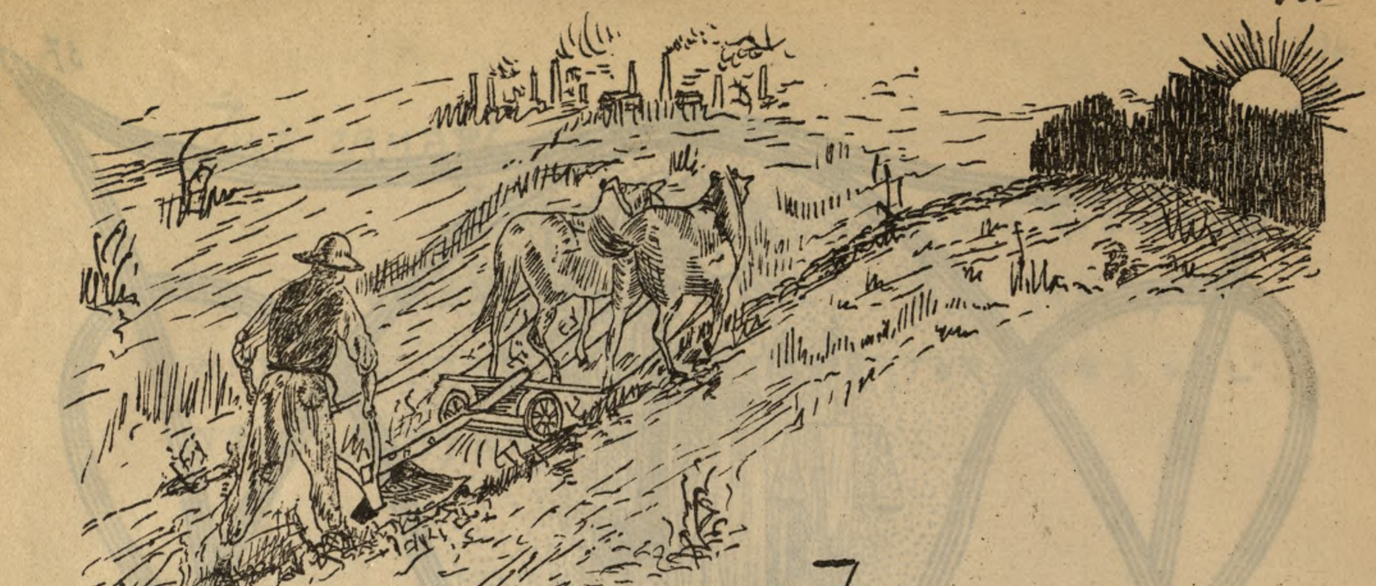
...Więc jestem już blizko. Ogarniam oczyma mej duszy glob ziemski, tonący w morzu obłoków — coraz bliżej i wyraźniej... aż oto staję zdumiony. Przedemną kraj wielki, równina wspaniała, wstęgą błękitnej wody przecięta. We mgle, jakby na straży, stoją odwieczne granity, wznosząc dumnie ku niebu swe czoła i przeglądają w toni jezior. Ach! tu jest raj! tu rozkosz i szczęście wieczne... Lecz cóż śmie zakłócić harmonię natury, co za głosy piekielne dochodzą do mnie, co za grzmot straszny, co za wycie potępieńców przenika mą duszę... Widzę, już widzę tłumy straszne z krzykiem i pianą na ustach, w szale piekielnym zmięszane, zmiażdżone, pojące się krwią braci. Uściskiem śmiertelnem spojone na wieki, konające z przekleństwem... Widzę tłum niewiast i dzieci, co w mękach, zniszczone głodem, zdjęte strachem szalonym, wyciągają dłonie ku Panu, wołając litości!... Lecz głos ich coraz słabszy — on już nieba nie dosięgnie, aż wreszcie cisza straszna, grobowa pole zalega.

Już zamarł jęk ostatni...

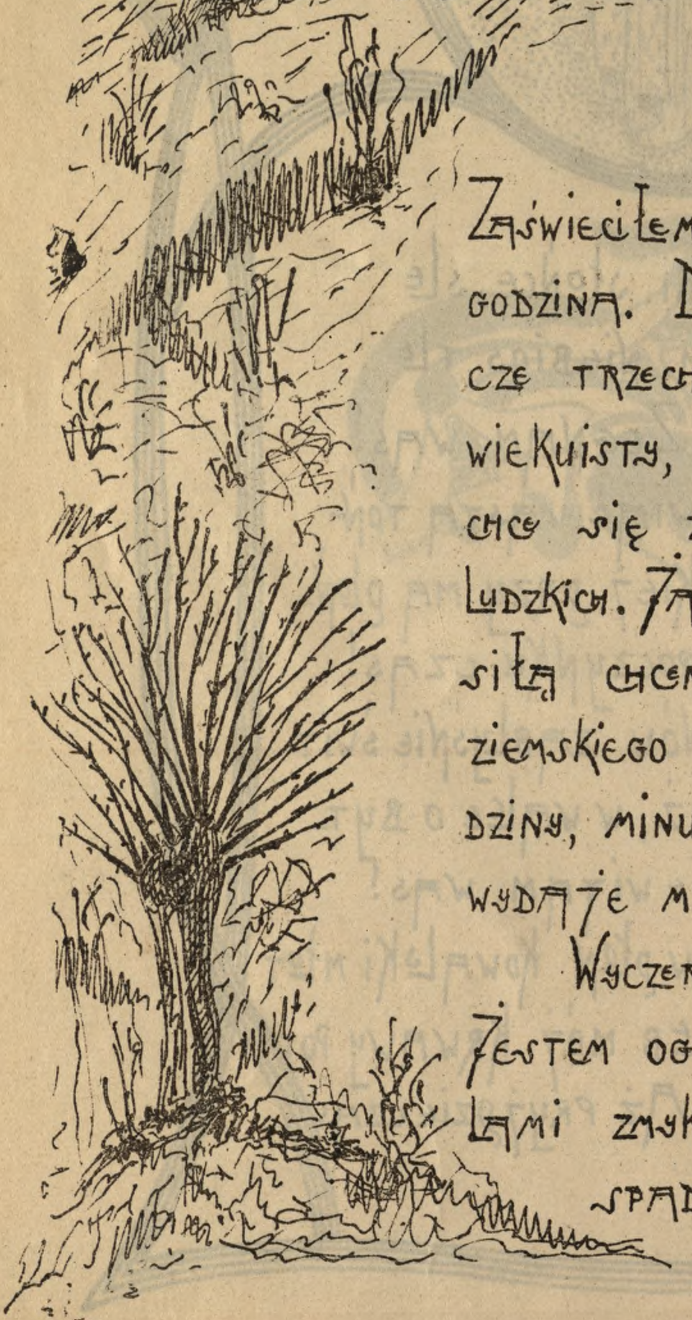
Zbłądziłem? czy duch rozszalały do piekła mię uniósł? – Nie, jam tylko widział, jak ludzkość braterstwo i wolność zdobywa.



Ostatnie blaski słońce śle
Na purpurowem niebios tle
Żegnam was!
Nie czas podziwiać waszą toń
Od pracy ciężkiej drży ma dłoń...
Spoczynku czas!
Gdy rankie znów zabłyśnie świt
Przy pracy już, w walce o byt...
Nie witam was!
Lecz chwytam w dłoń kowalski młot
Za czarny chleb mój krwawy pot
Aż pryjdzie czas!



Idę...



Zaświeciłem zapałkę — czwarta godzina. Do rozświtu brak jeszcze trzech godzin. Czas, czas ten wiekuisty, równomierny czas niechce się zastosować do pragnień ludzkich. Jabym tak chciał całą siłą chcenia przyspieszyć bieg ziemskiego globu, skrócić dnie, godziny, minuty, sekundy, bo ta noc wydaje mi się jak wiek.

Wyczerpałem zasób myślenia. Jestem ogromnie zmęczony. — Chwilami zamykają mi się powieki i spadam gdzieś w nieprzej-

rzane obszary. A jak tu cicho, strasznie cicho i zimno. Czuję ten chłód wielki przejmujący — skóra się ściąga, palce drętwieją a w płucach takie zimno — takie zimno — aż boli! Drżę cały a lecę,.... lecę w tę przeraźliwą, bezgraniczną pustkę. Wokół noc, wieczny chłód i nic,... nic, aż do nieskończoności. —

Już dawno minąłem powietrzne przestrzenie. A jednak żyję. — W skroniach tak mi coś wre i chuczy, serce tętni, a w płucach zimno i ból, — ból taki jak gdyby ktoś chciał mi rozsadzić piersi...... A — to pewnie resztki zatamowanego powietrza — Odczułem zadowolenie człowieka, który gdzieś umiera na obczyźnie i przypomina sobie, że ma zachowaną garść rodzinnej ziemi.

W tej chwili obudziły się myśli w mej głowie i bunt rozpaczliwy przeciw prawu ciążenia.

Nie! nie! Ja muszę, ja chcę wznieść się do tych wyżyn, gdzie byłem przedtem! Ja nie dobiegłem jeszcze do celu życia. Czuję w duszy szalone pragnienie czynów. Tam! — tam.... sycząc przez zwarte szczęki, rozpocząłem szalony bój z po-

chłaniającym mnie bezmiarem czasu i przestrzeni. —

— Można ciało rozedrzeć, rozszarpać, znieść na miazgę, ale woli mojej nic nie zmoże! Wiłem się w strasznej walce z niewidzialnym wrogiem, szał niemocy targał me wnętrza, w rozpaczy gryzłem ręce, przez ściśnięte gardło wydobywał się chrap, — krew z szumem bluzgała od stóp do głowy. Skurczyłem wszystkie muskuły, — z szaloną siłą i z krzykiem: nie! — rzuciłem się naprzód!......

.....Rozciągnięty na bezmiernych falach eteru płynąłem w górę. Wolno, i spokojnie, bez drgnień, bez tchu przesuwałem się z nieskończoności w bezmiar, z bezmiaru w przestrzeń. Mijałem gwiazdy, światy i słońca — i było mi wszystko jedno, bezgranicznie wszystko jedno, dla czego idę, gdzie idę i poco idę — i było mi wszystko jedno, czy żyję, czy już umarłem — i nie odwróciłbym głowy, gdyby wszystkie światy w swoich szalonych kręgach naraz się zetknęły i runęły w głębiny.

Zacząłem tracić przytomność....

Z góry naprzeciw mnie szła jasna postać, zwisłą głowę moją ujęła w swoje ręce i długo patrzyła mi w oczy, — potem usłyszałem szept cichy, lecz, sięgający do dna mej jaźni.

„Jestem duch nieśmiertelny, wielki i mocny. Ciało moje szatani rozdarli na trzy części i spętali żelazem. — Idź z innymi tam, gdzie słychać śmiech ciemięzców a jęk uciemiężonych. — Idź, boś ty syn mój a ja matka twoja. — Idź — błogosławię cię na życie i na pracę. Błogosławię cię na walkę i na śmierć. —

Ocknęłem się — idę....

Ty wielka i święta ojczyzno moja! Idę z innymi tam, gdzie chłopskie chaty i kominy fabryczne. Idę, aby rozbudzić światło w umysłach i pożar w duszy. Idę, aż z tego pożaru będzie biła łuna na całą ziemię naszą. Idę, aż z łuny pożarów wychyli się jutrzenka swobody.



Pobratnich dusz.

W zaraniu życia, w szczęścia dniach,
W braterskiej pracy, pragnieniach, snach,
Skrzydłem otoczym świat.
Zbudzeni czynem z przeszłości mar,
Roztoczym wokół młodości czar,
Wkroczym na nowy ślad.
Powstaje słońce, świta dzień,
Gnany blaskami pierzcha cień,
Już drży ciemności gmach....
Z płomieniem w oku z czołem do chmur,
Wywalim z posad łańcuchy gór,
Żądni do życia praw.
My Bracia razem! gdy duch się rwie,
Gdy w piersiach ogień młodości wre,
Gdy w sercu kipi krew...
Naprzód! porwijmy ten piastów Lud,
Aż zginie przemoc, wyzysk i głód,
Wolności zagrzmi śpiew!